

EUGENIUSZ KURZAWA

Literacki cyrk objazdowy

Wiem, że to co napiszę może będzie po części obraźliwe dla kolegów po piórze, od tytułu poczynając, ale tak, niestety (?), rzecz, moim zdaniem, wygląda. Mogę tylko stwierdzić, iż siebie i opisywanym zjawisku również uwzględniam i nie oszczędzam. Byłem i bywam w tym...

Kiedy niedawno na kolejnym spotkaniu literackim „gdzieś w Polsce” zobaczyłem moich starych kolegów po piórze, znajomych bliższych i dalszych parających się literaturą, przyszło mi do głowy określenie „literacki cyrk objazdowy”. Nawet któremuś z kolegów tak powiedziałem. Nie przejął się. Brzmi to może obraźliwie, pewnie pejoratywnie, ale według mnie po prostu i zwyczajnie określa pewne zjawisko funkcjonujące w Polsce Ludowej i w obecnej RP.

Zaczynałem brać udział w tymże cyrku objazdowym w latach 70. i trwam w nim do dziś, choć od bardzo dawna mniej intensywnie. Daje mi to jakieś 35 lat stażu i prawo do opisu, ocen. A są przecież koledzy bijący mnie „w tym procederze” na głowę, którzy mogliby powiedzieć więcej (na co zresztą liczę, panie i panowie).

Powiem szczerze, iż zjawisko cyrku, choć wtedy tak tego nie nazywałem, poznałem, nie, lepiej – rozpoznałem, dość wcześnie. Jako student piszący wiersze i jeżdżący na różne „wiosny”, „maje”, „czerwce”, „róże”, „hortensje” itp. Sądzę, iż tak wczesne rozpoznanie wzięło mi się z dwóch prostych powodów: a) długoletniej przyjaźni z Andrzejem K. Waśkiewiczem, który jako człowiek zawsze zdystansowany wobec rzeczywistości pokazywał ongiś młodemu „szczunowi” pewne mechanizmy literackie; b) z tego, że niestety (na szczęście – niepotrzebne skreślić) nie piję wódki.

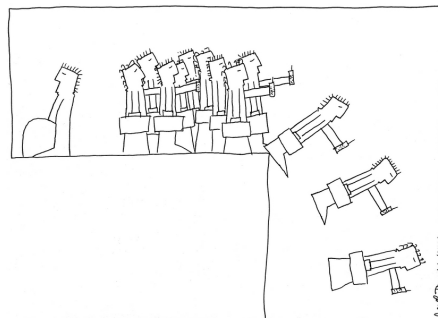
Kiedyś jej nie lubiłem, dziś jako chory na cukrzycę przestrzegam diety i wskazań lekarzy. Wciąż nie piję. A konsekwencje tego są nie do przecenienia. Pewnie teraz nie pisałbym tego i w taki sposób, jak właśnie piszę, gdybym ongiś chlał wódkę.

Trzeźwość na imprezach literackich wywoływała u mnie zawsze spory dyskomfort. Lecz nie dlatego stwierdzam „dyskomfort”, iż było mi głupio, czy że wstydziałem się, iż nie biorę udziału w tej polskiej i poetyckiej czynności picia. Nie. Także aluzje, że kto nie pije, ten kabluje wisiały mi luźniutko... Dyskomfort był natury bardzo prozaicznej. Dotyczył właśnie braku komfortu. Przedstawię to na przykładach, które wielu z nas, jeżdżących na imprezy literackie, zna z życia.

Otóż, pijany poeta zaśnie w każdym miejscu, nawet ma dywaniku pod drzwiami hotelu, nie przejmując się otoczeniem. Trzeźwy poeta, któremu przypadnie pokój hotelowy na imprezie z nawalonym jak stodoła kolegą, cierpi katusze. A bo to pijany współspac przez przypadek go obrzyga (a w najlepszym wypadku zarzyga wspólną łazienkę), a to chrapie i nie przejmuje się, że obok ktoś nie może zasnąć (trzeźwy nie da rady zasnąć przy

pijanym). Albo dopiero zdarza mu się zapaść w sen nad ranem i potem jest wściekły na cały świat. A pijany śpi w najlepsze. Jeśli z kolei trafi się przypadkiem (we wspólnym pokoju) na kolegę pijanego jak dziecko (czyli bez rzygania i chrapania), to okazuje się, iż dwa pokoje dalej całą noc toczą się „spory literackie” przechodzące w miarę zbliżania się poranka do sporów rękoczynnych. Itd.

Powiedzmy jednak, że wreszcie minęła noc. Na drugi dzień, gdy gościnni organizatorzy zapraszają gości „maja”, „czerwca” i „wiosny” na wycieczkę autokarową lub na spotkanie z publicznością, okazuje się, iż brakuje – śpiących w najlepsze pod oknem i tulących się do kaloryfera – „najwybitniejszych” pijaków. Tak, pijaków, mówmy o tych sprawach po imieniu. W tym wypadku (co się zdarzało często) dostawałem cholery, bo jako osoba lubiąca pospać mimo wszystko poddawałem się dyscyplinie organizatorów i punktualnie o wyznaczonym czasie warowałem jak durny (choć zaspany) w autobusie. Wiem, że zachowywałem się wówczas (i nadal to mam) małostkowo wobec geniuszy polskiej literatury, bo miałem do nich pretensje. Co najmniej. A bardziej – wkurzałem się do imentu. Lecz przecież nie widziałem się gorszy – jako, powiedzmy szumnie, obywatel, wycieczkowiec – niż ci, co poprzedniego dnia popili. Bo domniemana genialność to jedno, a punktualność – drugie. Jak ktoś chce być geniuszem, to proszę bardzo, ale na własny rachunek, rozumowałem. Nie moim kosztem, wprawdzie – nie geniusza, ale...



Rys. Jacek Piwowarski

Charakterystycznych dla zjazdów młodszych i starszych artystów pióra było zawsze kilka punktów porządku imprezy. A zatem: turniej jednego wiersza, ogłoszenie wyników ogólnopolskiego oczywiście (!) konkursu „o laur”, wygłoszenie dwóch, trzech referatów.

Zwykle, gdy ktoś uczenie wykladał referat, z tyłu sali podpici już poeci-outsiderzy „robili se jaja”. Czy to z prelegenta, czy z innego powodu. W każdym razie charakterystyczne było „rozwalanie” imprezy już w jej trakcie. Tylko dla owych „jaj”. Choć tak naprawdę, uważam, dla „zaistnienia”. Bo siedzące na sali

panienki (które potem zwyczajowo „się rwało”) słuchały, przyglądały się. I taki outsider (modny przecież za czasów Stachury, Milczewskiego-Bruno i pozostałych „przeklętych” i modnych – a wtedy to właśnie sporo jeździłem) był na chwilę – i być może sam się tak widział – w oczach pańienek właśnie Stachurą. Co najmniej. A ze Stachurą to już łatwiej iść do...

Pamiętam taki moment na jakimś „maju”. Siedzimy przy stoliku w knajpie hotelowej. Waśkiewicz, obok właśnie dzięki niemu poznany przeze mnie prof. Jerzy Kryszak, i gady. Wtem dosiada się poeta L. (przez dwa „p”). – Chodźcie chłopaki do pokoju, weźmiemy flaszkę, pogadamy – zachęcał. – Dobrze, stary – rzecze Waśkiewicz – ale pod warunkiem, że nie będziesz nam czytał swoich wierszy. – Wiesz co, spierdalaj – rzucił poeta i poszedł. Dzięki bogu.

To wszystko zaczęło mnie z czasem irytować i męczyć. Po co jechać gdzieś na jeden lub drugi koniec Polski, żeby znów przeżyć to samo? Oglądać tych samych pijących, bełkotujących poetów? Rwących kolejne panienki? Czytających wieczorami swoje „genialne” wiersze. Narzekających na wydawców, wtedy „Iskry”, KAW, MAW, „Czytelnika”, WL, PIW. Lub jakieś lokalne oficyny.

Dla mojego rozwoju – za przeproszeniem, intelektualnego – nic z tego „obrzędki” nie wynikało. Dla mojej przeciętnej zresztą poezji – także. Nie rozwijałem się dzięki temu „zjawisku”. A na następne kontakty już nie chciałem się łąpać. Bo warunkiem uczestniczenia w cyrku objazdowym było uczestnictwo w jak największej ilości imprez. Z tego brała się ciągłość, powinowactwo duchowe, zaprzyjaźnianie się z organizatorami.

Zresztą dla wielu był to nie tyle styl życia, co przeżycia. Darmowy hotel, zarcie, picie i za tydzień dwa kolejne spotkanie. I znów to samo...

W ramach cyrku mieścili się też koledzy obsyłający (niektórzy są już starzy jak ja, a jeszcze dziś to czynią) wszelkie możliwe konkursy literackie swoimi wierszami. Ale (uwaga!) nie jeżdżący na imprezy towarzyszące rozstrzygnięciu konkursu i ogłoszeniu wyników. Bo jazda byłaby nieopłacalna, zaś chodziło już tylko o zarobek, o szmal na życie. Z czasem niektórzy przekalkulowali, iż nieustanne picie rujnuje zdrowie, zabiera mnóstwo czasu i pieniędzy, a Stachurą i tak jakoś się dzięki temu nie zostaje. Tymczasem pojawiła się rodzina, dzieci (albo alimenty), które trzeba utrzymać. Więc koledzy trzeźwo kalkulujący i potrafiący się jako tako zdyscyplinować pisali (i piszą nadal) na niezliczone konkursy, zdobywali wyróżnienie za 800 zł i byt na jakiś czas mieli zapewniony.

To trwa.

Z czasem organizatorzy połapali się w tym